KOCHANEK W ROZPACZY.

Myśl wzięta z angielskiego (Walsh'a).

But a neck once broken
Could never beset. *Walsh.*



O ty! zawsze czczone bóstwo,
Ty, pogańskie srogie dziecię;
Co przy wonnym cudnym kwiecie
Pielęgnujesz trucizn mnóstwo....
O miłości! Twoja wina
Że raz, pasterz młody, tkliwy,
Biegł się topić, bo dziewczyna
Drwiła z niego.
Nieszczęśliwy
Już rozpacznem spojrzał okiem,
Głąb przemierzył śmierć rozważył,
Miał się rzucić jednym skokiem....
Nagle stanął i zdumiony
Rzekł sam w sobie.
Czym się nażył?
Czym pijany lub szalony?
Że tam jakaś piękność płocha
Memi pogardza zapały,
Że wietrznica mię nie kocha
Bo ma serce jak ze skały,
Ja, mam w tak głęboką wodę
Nurzać moje lata młode?
Wszak na świecie dziewcząt tyle!
Miłość? błyśnie w dobrą chwilę.
Ale kto *raz* złamał szyję,
Ten, *powtóre* nieodżyje!
Więc łzy otarł i z pośpiechem
Wrócił do chatki, do trzody.
O miłości! czyż to grzechem,
Że miał rozum, choć był młody?

J. Janiszewska.

ANNA Z SAPIEHÓW JABŁONOWSKA.

I. Stosunki rodzinne.

Pomiędzy niewiastami polskiemi XVIII wieku błyszczy nie pod jednym względem wojewodzina bracławska, Anna z Sapiehów Jabłonowska. Szerokie niezmiernie było jej pole działania. W dziejach i w literaturze znajduje sobie miejsce ta pani. Nie wyczerpała się pracując na rozmaitych drogach, bo umysł posiadała czynny i duszę szukającą wrażeń, rozumu wiele, chociaż nie nauki, bo to jedno z drugiem niekoniecznie chodzi, urodzenie zaś i stosunki z drugiej strony postawiły ją tak wysoko, że mogła głos podnosić kiedy chciała; dodajmy do tego, że ujrzała się nagle wojewodzin w czasach wrzącego burzami życia, kiedy namiętności szczególnej rozbujały po długiem przesileniu niemocy. Tak wszystko razem złożyło się na jej stronę, że mogła szeroko zasłynąć.

Pochodziła z rodziny bardzo znakomitej. Pradziad jej wojewoda wileński i hetman, trząsał całą Litwą za panowania Jana III i pierwszego króla Sasa. Dziad marszałek wielki, ożeniony z margrabianką de Bethune, siostrzenicą Marji Kazimiery Sobieskiej, w królu Janie Sobieskim miał bliskiego i serdecznego krewnego. Ojciec Kazimierz Karol generał aartylerji lit. starosta wołpiński i oniksztyńsk

nie zajął wprawdzie znakomitego stanowiska w dziejach, ale bo też umarł zbyt młodo. Żonaty był z Karoliną Radziwiłłówną, kanclerzanką litewską.

Oto oglądamy czasy niezmierzonej pychy rodzin. Każdy pan wyrobił sobie kółko przyjaciół i zwolenników i otoczył się własnym swym światem i panował nad nim, sięgając daléj lub bliżéj. Znakomitości te, których po kilka czasem było w jednéj rodzinie, zawsze zbierały się około wspólnego ogniska, to jest około największej osoby w rodzinie. Tak np. Sapiehowie występują jedną gromadą, Radziwiłłowie drugą, Czartoryscy trzecią, lubo sami na kilka grup się dzielą pomiędzy sobą. Mogą być drobne zajścia i nieporozumienia w rodzinie, ale te wszystkie gasną, skoro nazwisku grozi jakie niebezpieczeństwo. Rodziny spierają się z sobą po sejmikach i walczą lub zawierają układy i godzą się; w ostatnim razie są przymierza, a nieraz małżeństwo jakiego wojewodzica z księżniczką drugiego obozu, bywało wypadkiem politycznym, który wpływał na losy kraju.

To jedna strona tej pychy panów, ale jest i druga. Rodziny wielkie względem siebie są w pokoju lub w wojnie, ale względem niższych to jest mniej bogatych i mniej znaczących szeregów szlachty, buta pańska zawsze stąpa na partesach.

Bywało to bardzo dawno w Koronie kiedy szlachcic na zagrodzie równał się wojewodzie, lecz równości téj szlachetnéj nigdy nie było na Litwie. Kiedyś za Zygmuntów, ziemianie i bojarowie wyrobiwszy się na szlachtę, nie od razu potrafili oswoić się z nowem prawem i z nowemi stosunkami, metropolita Rahoza chociaż naczelnik kościoła; całował kniazia Ostrogskiego w rękę bo wiedział, że co z bojara szlachcic, to nie pan z rodu. Pan więc litewski i ruski był w całem znaczeniu tego wyrazu panem; rosnął w pychę, bo nikt mu się nie sprzeciwiał, królowi zaś sam mógł się sprzeciwiać i szkodzić, słabszego nie miał za nic i wszystkie swoje stosunki urządzał według prywaty.

Nie dziwić się więc nam po części, że znajdujemy na każdym kroku w dziejach ludzi zuchwałych. Dzisiaj nas rażą te charaktery na pół wielkie, na pół dzikie, bo do wyobrażeń owego czasu nie pasujemy, ale w przeszłości wszystkie się te charaktery tłumaczą.

Umyślnie przywodzimy te zdarzenia i kombinacje, żeby wytłumaczyć tę rodową pychę, jaką oddychali wtedy wszyscy, nietylko mężczyzni, ale niewiasty. Grono panów Rzpltej wyrobiło się w najzazdrośniejszą arystokrację. Nie tak to bywało za ślicznych zygmuntowskich czasów.

Jenerałowi artylerji lit. Karolowi, zapisał wszystkie dobra swoje Michał Sapieha, wojewoda podlaski, syn Benedykta podskarbiego, stryj rodzono stryjeczny. Miał wprawdzie wojewoda syna jedynaka, starostę mielnickiego i wielkie w nim, jak to naturalna, pokładał nadzieje, ale gdy piętnastoletnie dziecię samo się z przypadku zabiło przy zabawie, wsparł wojewoda zapisem najbliższych swoich, rozrodzonych wnuków hetmańskich. Podarował im Wysokie litewskie i Siemiatycze. Było to przed samą powtórną elekcją króla Stanisława Leszczyńskiego, za którym oświadczył się zrazu i Karol, ale już roku 1734 przerzucił się do Augusta III Pilno mu to było, bo miał wojnę domową ze złym dla tego sąsiadem, że prawa swojego bronił szlachcic, przeciw magnatowi. Jeżeli kto, to Sapiehowie najmniej umieli wychodzić ze szlachtą. Wojewoda podlaski potrzebując pieniędzy zastawił kilka wiosek na Podlasiu i w Brzeskiem, Jerzemu Matuszewiczowi, który spokojnie żyjąc i skrzętnie zbierając, przez długie lata dosyć grosza sobie uciułał. Sprzedał mu także i miasteczko swoje Rasnę, sławne jarmarkami, na które zjeżdżali się kupcy z Wrocławia, z Gdańska, z Moskwy, z Krymu, z Besarabji. Ale nie chciał pan stracić jarmarków, chodziło bowiem o dochód tysiąca talarów bitych. Wyrobil sobie przywilej królewski na jarmarki w miasteczku Wysokiem, które miały się odbywać na tydzień przed Rasneńskiemi. Zaczęła się odtąd wojna pomiędzy panem a szlachcicem o jarmarki. Sapieha kazał kupców zwracać, rozstawiał straże, nawet wojska litewskiego ku temu używał. Tę wojnę odziedziczywszy już po swoim spadkodawcy, jenerał artylerji prowadził ją z całą zaciętością, a trafiła kosa na kamień, na panią Matuszewiczowę, wielką pieniaczkę i także dumną niewiastę, bo miała świetne stosunki na Mazowszu. Dokuczał sąsiadce jenerał wszelkiemi sposobami, nasyłał na jéj włości oddziały wojsk, które popierały króla Sasa, nękał ją prowiantami, nawet prześladował w konsystorzu janowskim, bo chciał ją koniecznie uwikłać w sprawę, że przechowywała przez żydów skradzione srebra kościelne. Sprawa toczyła się i po trybunałach w Koronie i Litwie, a chociaż prezydentem bywał w Lublinie ksiądz Mostowski, wuj rodzony pani Matuszewiczowej, wlekła się długo walka, aż i przeżyła jenerała Sapiehę.

Kazimierz Karol Sapieha umarł w Krakowie, podczas Rady senatu (30 maja 1738 r.) Jeździł tam starać się o województwo podlaskie i już się cieszył nadzieją, że zasiądzie na krześle, kiedy go Bóg do siebie powołał. Zostawił sierotami troje drobnych jeszcze dzieci, to jest dwóch synów i córkę pod najbliższą opieką matki. Najstarszą w tém młodem gronie była siostra Anna, urodzona w roku 1727; młodszemi zaś bracia Michał i Aleksander. Była jeszcze druga córka Marjanna najmłodsza, ale umarła w końcu stycznia 1733 roku, w Wilnie, z nieutulonym żalem pani jenerałowej, opowiada ówczesny Kurjer polski, nic nie wspominając o bólu ojca. (Kur. pols. Nr. 164).

Ta linja Sapiehów była w porównaniu do

innych dosyć uboga, bo liczna; to też się na nich składali krewni, jak to widzieliśmy. Majątek wojewody podlaskiego dostał się Kazimierzowi. Wojewoda, jednakże umarł na rok tylko przed jenerałem artylerji i ztąd spadkobierca nie mógł dobrze urządzić spraw swoich majątkowych, kiedy już staranie to musiał zdać na dwóch młodszych od siebie braci. Szczęściem, że miał gorliwych o sławę i świetność domu Sapieżyńskiego, a więc Sapiehów w całém znaczeniu tego wyrazu, a do tego zdolnych i prawdziwych statystów, jak dawniej polacy nazywali mężów politycznych w rzeczypospolitej. Jeden z nich starszy, Józef, był już wtedy znakomitą w Litwie postacią. Poświęcił się zawodowi duchownemu i miał z czasem zasiąść pierwsze w prowincji swojéj biskupstwo wileńskie, bo otrzymał koadjutorstwo z prawem następstwa, u zacnego starca biskupa Michała Zienkowicza. Na rok niespełna przed śmiercią brata, Kazimierz wyświęcił się w Wilnie, wśród wielkiej uroczystości na biskupstwo djocezaryjskie, na które przysłała mu bullę stolica apostolska. Józef czynny, zdolny, ruchliwy i do tego wszystkiego bardzo rozumny, wyrabiał się powoli na wyrocznię całéj rodziny Sapiehów. Nie mógł nią być jeszcze w owych czasach, bo pierwszeństwo brał przed nim w rodzinie nie z jednego względu mąż pełen lat i zasług, patryarcha Sapiehów, kanclerz Jan Fryderyk pan na Kodniu. Starzec poważny, miłośnik ojczyzny wielki, statysta pełen doświadczenia, uczony pierwszego rzędu, pisarz w swoim czasie dzieł znakomitych i sławnych, minister i mówca rozumny, umiarkowany, bogaty, nic dziwnego że brał przed człowiekiem młodym pierwszeństwo, ale biskup djocezaryjski rósł pod cieniem tych skrzydeł kanclerskich. Wszyscy to czuli, że po śmierci kanclerza, kierunek polityki rodzinnéj przejdzie w ręce księdza koadjutora, bo tak wszyscy biskupa nazywali. Ks. koadjutor był prawodawcą w młodem pokoleniu Sapiehów, które z pewnego względu, jak to zawsze jest na świecie, spoglądało z pewnym rodzajem pobłażania na starego kanclerza i jego bliższych przyjaciół. Młodym zawsze stary wydaje się mniej pełnym życia, a pełnym przesądów i zrzędności. Tak było i u Sapiehów. Czcili młodzi członkowie rodziny kanclerza, bo na to ze wszech miar zasługiwał, bo miał w ręku władzę i wpływ przeważny na dworze, bo mógł wiele zrobić, na wiele się odważyć, bo powagą pięknego, nieskalanego żywota ujmował ku sobie. Ale woleliby bardziej u steru rządowego siły młodsze. Jakoż poddawali się chętnie pod wpływ koadjutora, który pośredniczył zawsze im do kanclerza. Brat rodzony Michał, starosta gulbiński, dawał przykład téj karności, we wszystkiem się powodował wolą i radą biskupa, w którego wierzył jak w potęgę. I nie zawiódł też ufności młodszego pokolenia koadjutor, ten orędownik niespracowany, rozumny i zacny, co główna w takim razie. Miał on prócz wspólności krwi, łatwy przystęp do kanclerza przez swoją bratowę wdowę po Kazimierzu. Z dwóch albowiem siostr téj pani starszych, jedna była właśnie za kanclerzem Sapiehą, druga za księciem hetmanem Wiśniowieckim, ostatnim potomkiem wielkiego rodu. Kanclerz kochał serdecznie swoją żonę i przez nią Radziwiłłów i wszystkie Radziwiłłów potomstwo tak po mieczu jak i po kądzieli: koadjutora osobno poważał. Tu same okoliczności podnosiły znakomicie stanowisko młodego kierownika Sapieżyńskiej rodziny. Dodajmy do tego, że ksiądz koadjutor nie był nie godzien tego publicznego szacunku, już nietylko Sapiehów ale i kraju. Był to, rzadkim wyjątkiem wtedy, wśród panów naszych, mąż, u którego nie przeważała nigdy prywata, powinności obywatelskiej i dobra ogólnego. Prawda, że ksiądz koadjutor był Sapiehą wybitnym, jawnym i upartym, ale kochał przytem ojczyznę, kochał i kościół, w którym nie szukał tylko samych zaszczytów, ale i pasterskiej dobrej sławy. Duch wieku XVIII nie stworzył z niego filozofa; światły i pobożny ksiądz koadjutor, chociaż zacny przytem tolerant, całą swoją miłość poświęcił kościołowi i umiał w każdej chwili radzić, kiedy upatrywał dla niego bliższe albo dalsze gdzie niebezpieczeństwo.

Tem bardziej potrzebowały nad sobą troskliwej opieki dzieci osierocone generała artylerji, że matka ich była panią niepewnego humoru. Wprawdzie w pierwszej chwili, czy w istocie prawdziwego żalu po stracie męża, czy tylko z roztkliwienia, przysięgała księdzu koadjutorowi, że nie pójdzie za mąż i że się odda jedynie wychowaniu młodziutkich dzieci. Alež były to obietnice za ciężkie cokolwiek do spełnienia, na ledwie trzydziestoletnią niewiastę i do tego pewno piękną. Zatem, gdy przyjechał na Litwę szukać bogatej żony, Jabłonowski młody starosta buski, prosto z podróży za granicę, w której z uwielbieniem przyglądał się królom i dworom, gdy poznawszy ciepłą wdówkę, oświadczył się o jéj rękę, chociaż młodszy o lat kilka, i był, jak to łatwo zrozumieć, mile przyjęty; dzieci ujrzały się podwójnemi sierotami. Wesele odbyło się w niespełna lat dwa po śmierci generała (1 maja 1740 r.). Nowa pani Jabłonowska w upojeniu szczęścia, jakie w nowych związkach było jéj udziałem, tak dalece się zapomniała, że zubożyła własne dzieci. Zapisała mężowi wszystkie prawa i dożywocia, jakie miała od Sapiehy, bo jako główna opiekunka dzieci, trzymała w swoich rękach wszystkie ich dobra. Robią to zwykle wdowy uradowane, ale lekkomyślne matki. Co większa poodstępowała mu starostw, które wielkie rodziny sobie przywłaszczyły prawie dziedzictwem i za przywilejami. Starostwa pospolicie król dawał jakiej śosobie zasłużonej, albo najczęściej tylko możnéj, której dać musiał, żeby sobie pana zaskarbić. Mąż potem tak obdarowany, wyrabiał u króla prawo przelewkowe, to jest do-

żywocie na starostwie dla żony i następnie prawo ustąpienia starostwa dla syna, którego zawczasu czcił swoim tytułem, a który dorosłszy takimże samym sposobem, przekazywał starostwo komu chciał, synowi, siostrzeńcowi i bliższemu albo dalszemu krewnemu. Ztąd to pochodzi, że dzieci pańskie u nas dumnie po gazetach i aktach urzędowych zwały się starostami, czekając aż nadejdzie czas, kiedy sami na siebie, z rąk ojca lub stryja obejmą królewszczyznę. Toż i dwaj mali synowie generała Kazimierza, zwali się w téj chwili starostami puńskiemi, bo spadło na nich kilka królewszczyzn, ale się niemi jeszcze nie podzielili i ze stârostwa puńskiego wspólnie pobierali obadwaj dochody, a raczej ich opieka.

Pani Jabłonowska tedy korzystając z dożywocia, podarowała drugiemu mężowi prawo swoje do starostwa wołpińskiego, oniksztyńskiego, rakanciskiego i ławaryskiego, dała mu połowę swoją Dąbrówny i Czereję, dobra Białoruskie; potem Wysokie, sławne jarmarkami, Kock wLubelskiem i Siemiatycze na Podlasiu, a nawet oddała mu starostwo puńskie, które król po śmierci już generała artylerji, nadał jéj starszemu synowi Aleksandrowi, dziecku mającemu niespełna lat dziewięć. Jednem słowem opieka nad całym majątkiem dzieci, przeszła w ręce Jabłonowskiego.

Ten szczęśliwy losu wybraniec, wówczas jeszcze mało znaczył, ale później dosyć jaskrawo błyszczał na świecie polskim. Był to ów sławny obrońca Lecha, pisarz zawołany, książe najdostojniejszej krwi, który nie miał sobie równych na ziemi i tylko z grzeczności chyba królom miejsca ustępował. Chociaż państwo swoje wywodził tylko od dziada hetmana i chociaż dla tego przed stą laty nikt w Rzeczypospolitej o Jabłonowskich nie słyszał, starosta buski był już wcale majestatycznym szlachcicem, chodził z partesów, otoczył się etykietą i gotów był pokumać się z samym panem Bogiem. Dostawszy bogatej żony, miał jedną tylko troskę w życiu, oto co najprędzej chciał zostać księciem; bracia jego stryjeczni zyskali już tę godność od cesarza jegomości, a starosta buski sądził, że krwi jego i zasługom, książęca mitra także przynależy. Przyszło i to niedługo. Wtedy Jabłonowski już teraz „jaśnie oświecony książe świętego państwa rzymskiego,“ osiadły w Litwie, koroniarz, brał urzędy prowincji; był stolnikiem litewskim i jak zgadli to zapewne czytelnicy, którzy chociaż cokolwiek znają te dawne stosunki, potem wojewodą nowogrodzkim. Kto nie słyszał o tym sławnym z pychy i dumnym z rozumu wojewodzie? Zlitwinił się przez żonę i czystem sumieniem zagarniał od niéj nie jéj majątek, prowadził procesa po trybunałach, jako ojczym młodych Sapiehów.

II. Procesa. Wrażenia lat dziecinnych.

Ksiądz koadjutor widział oczywistą szkodę swojego domu. Każdemu Sapieże podałby rękę, a cóż dopiero synowcom, jedynym potomkom swojej linji? Toż i tak nad miarę kochał Aleksandra i chciał go sobie jeszcze ująć; pragnął też sam wyhodować nadzieję domu, dla tego rozpoczął proces z matką o prawo wychowania synowców. Miał sprawiedliwy powód do zasłonienia majątku dzieci, przed lekkomyślnością i marnotrawstwem matki. Do tego rodziny w Polsce, które tak mocno dbały o świetność swojego imienia, wyrobiły sobie zupełnie dynastyczne pojęcia. Sapiehów nie mogła wychowywać pani Jabłonowska, chociaż rodzona matka, bo zapomniawszy krwi, któréj poświęcić się było jéj powinnością, zazbyt przylgnęła do Jabłonowskich.

Koadjutor więc prowadził z bratową długi i ciężki proces, do którego się wziął powróciwszy z podróży za granicę, zaraz w pierwszych miodowych miesiącach jéj powtórnego za mąż pójścia (1740). Szukając sposobów do dopięcia celu, począł się uwijać przy księciu podkanclerzym litewskim Czartoryskim, który w sercu swojem dumne pielęgnował zamysły. Nie uważał ksiądz koadjutor za stosowne uciekać się o pomoc kanclerza, obawiał się albowiem jego przywiązania do żony i wogóle do Radziwiłłów. W takim razie, lepszym był dla niego podkanclerzy i ksiądz koadjutor chociaż bardzo rozumny człowiek, nie spostrzegł, że staje się mimowoli narzędziem przebiegłego ministra nawet przeciw Sapieże. Czartoryski chciał mieć wolne do działania pole, dla tego pragnął usunąć kanclerza i sam na jego miejscu posiąść pieczęć wielką. Był wtedy w zgodzie z dworem i mógł łatwo co wskórać w swoich zabiegach, aby tylko namówił kanclerza do złożenia pieczęci, oczywiście w zamian za inne dostojne krzesło. Do tego przydawał się doskonale Czartoryskiemu ksiądz koadjutor. Sprawa szła do trybunału i można się było spodziewać, że Radziwiłłowie całym swoim wpływem poprą panią Jabłonowskę. W przewidywaniu więc mocnych przeszkód, ważną było rzeczą dla koadjutora zapewnić się o głosach sędziów trybunalskich. Żeby chociaż mieć równość z Radziwiłłami, kręcił się ksiądz koadjutor około najważniejszej sprawy zjednania sobie marszałka. Podkanclerzy wielką mu tedy wyświadczył przysługę, obiecując że popierać będzie na marszałka trybunału Michała Masalskiego, wojewodę mścisławskiego, zarówno przyjaciela Czartoryskich jak i Sapiehów. Koadjutor wiele zyskiwał przez ten sojusz z podkanclerzym, bo stanowienie sejmików trybunalskich dla wyboru deputatów w czasach, gdy sejmy nie dochodziły, dawało wielki wpływ osobie, która sejmiki układała i na wybory wpływała. Książe Czartoryski czynny i młody, umiał prowadzić te rzeczy więcéj i lepiej jak kanclerz Sapieha, ociężały, bo stary, a do tego spokojny obywatel, któremu się nie marzyło o żadnych reformach rzeczypospolitej. Podkanclerzemu, który za to myślał o ustanowieniu monarchji dziedzicznej,

jak to ludzie po cichu opowiadali, stanęli na przeszkodzie Radziwiłłowie i przez samą emulację, nie pozwalali stanowić trybunałów. Tak rzecz publiczna wiązała się wszędzie z prywatną, a w walkach sejmikowych nie wygrywała ta lub owa strona, ale przyjaciele lub nieprzyjaciele zmian dobrowolnych lub gwałtownych. Ogół nie pojmował tego znaczenia walki.

Ksiądz koadjutor podawał się więc w opiekę potężnym wpływom, upokarzał Sapiehów i pomagał reformie rzeczypospolitej, myśląc tylko, że walczy z bratową, o prawo opieki nad małoletniemi. Za to łatwo pojął, co mu w przyszłości obiecuje wpływ bezpośredni na sejmiki.

Uradziwszy z podkanclerzym, żeby Masalskiego wysadzić na marszałka przyszłego trybunału, troszczył się już o to jedynie ksiądz koadjutor, żeby go uprosić o podjęcie się téj obywatelskiej posługi. Miał serdecznych przyjaciół w rodzinie Łopacińskich, jednego więc z nich pana Ignacego, posłał natychmiast do Czarlony, do brata swego Michała Sapiehy, który był już wtedy łowczym litewskim i mieszkał w sąsiedztwie z wojewodą. Łowczy miał starać się i namówić Masalskiego do przyjęcia laski. Posłuszny bratu, dał mu znać natychmiast łowczy, żeby wracał od podkanclerzego, zapewne z Wołczyna przez Oleszyce, włość wojewody i obiecał że tam zaraz pojedzie i że wspólnie namawiać będzie wojewodę. Stało się tak i poszły układy szczęśliwie nad wszelkie spodziewanie, bo wykazało się, że jeżeli Sapiehowie potrzebowali Masalskiego, nawzajem też i Masalski potrzebował Sapiehów. Pan wojewoda, potomek starodawnych ruskich kniaziów, pierwszy z Masalskich zajął poważne stanowisko w rzeczypospolitej i nie chciał z niego już ustąpić, Miał kilku synów, pragnął więc ich uposażyć i urzędami i majątkiem; dla tego pochlebiał Czartoryskim i dla synów szukał bogatych a potężnych związków. Była w rodzinie Sapiehów, w linji także hetmańskiej siostra stryjeczna księdza koadjutora, bogata panna do wzięcia, wojewodzianka mścisławska. Zawiązały się więc tutaj na zjeździe nowe układy w Olekszycach, które w lat kilka potem doprowadziły do pożądanego skutku i młody Masalski ożenił się z Sapieżanką.

Zachęcony tym sojuszem ojciec, wojewoda mścisławski, sam żonaty z Ogińską, podsunął myśl, żeby dla pewniéjszego tryumfu sprawy wciągnąć do wspólnej roboty podskarbiego Sołłohuba, którego także niedawno wyswatał w domu Ogińskich. Masalski i Sołłohub połączeni razem, byli dosyć silni, żeby oddziaływać i na Ogińskich, którzy także mieli wejść w sojusz przeciw lekkomyślnej matce i jéj ukochanemu koroniaszowi. Nowy więc zjazd urządzano u Masalskiego w Szczuczynie i oprócz gospodarza znaleźli się, na nim dwaj bracia Sapiehowie, ksiądz koadjutor i łowczy, do tego podskarbi Sołłohub i najznakomitszy, najmędrszy z czterech braci Łopacińskich, Mikołaj. Wszystko udało się jak najlepiej, sejmiki gromniczne poszły wybornie Sapiehom, marszałkiem obrany wojewoda mścisławski wbrew Radziwiłłom, którzy popierali Żabę, kasztelana połockiego do laski.

Nadszedł i dzień otwarcia trybunału, który miał wreszcie osądzić sprawę, za czy przeciw opiece Jabłonowskich nad Sapiehami. Obudziła się ciekawość powszechna, wielki ruch ją zwiastował, obecność panów na trybunale podwajała zajęcie. Stawił się z jednej strony ksiądz koadjutor i podskarbi Sołłohub, popierani przez koalicję, któréj duszą był książę podkanclerzy; z drugiéj, pan Jabłonowski z żoną i z pasierbicą, generałówną Anną, a co większa z teściową, niewiastą rozumną, obrotną i niepospolicie dumną. Przywieźli z sobą listy książąt hetmanów litewskich Wiśniowieckiego i Radziwiłła *Rybeńki*. Pierwszy jak powiedzieliśmy, miał siostrę pani Jabłonowskiej za sobą, drugi był jej bratem. Mimo to większość deputatów pokazała się przeważnie Sapieżyńska. Wtedy strona przeciwna rozpoczęła tajne zabiegi, co dostrzegłszy Sapiehowie, oczywiście mieli się także na baczności; pieniądze zatém z obu stron sypały się jak grad.

Obcy ludzie robili majątki. Deputaci ledwie nie potracili głowy. Tak Syruć obożny kowieński, za popieranie sprawy pani Jabłonowskiej, dostał od Radziwiłła *Rybeńki* zarząd ekonomji Szawelskiej, na której 70,000 złp. zarobił. Tak Horain podczaszy wileński dostał od saméj pani Jabłonowskiej dzierżawy dwóch bogatych starostw pod Wilnem, Rakanciszek i Ławaryszek. Dwaj ci ziemianie przydawali walce nowy charakter. Gorliwi stronnicy króla Stanisława i nawet bliźsi jego doradcy, bo jeden był sekretarzem, drugi marszałkiem w konfederacji za nim zawiązanej, niedawno co powrócili do Litwy i przywieźli z sobą błogosławieństwo króla wygnańca. Ich też usiłowaniom nie był obcym Stanisław Leszczyński, który się rodził z hetmanówny Jabłonowskiej i był takim sposobem wujem starosty buskiego, ojczyma młodych Sapiehów. Pomagali Syruciowi i Horainowi sędzia Przybyszewski i deputat Abramowicz.

To wszystko podniosło tak znakomicie stronę Radziwiłłowską, że napróżno pracowali ze Sapiehami, pisarz trybunalski Mikołaj Łopaciński i Antoni Przeździecki pisarz wielki litewski, pełen wybiegów prawniczych, sławny w Litwie z tego powodu. Nawet podskarbi Sołłohub, który miał do odwetu własną krzywdę, bo z Rakanciszek ustąpił pani Jabłonowskiej, chociaż pieniędzmi robił, nie mógł obalić znakomitéj forsy Radziwiłłowskiej. Większość Sapieżyńska ujęta, zdemoralizowana, widocznie odwracała się, rozsypywała i niknęła. Po trzytygodniowej walce, była niepewność kto zwycięży. Wtenczas jednemu z deputatów Radziwiłłowskich Norudzkiemu, przyjaciele strony Sapieżyńskiej, dali pewne lekarstwo, które go

zatrzymało w domu w dzień głosowania i skutkiem tego dopiero wybiegu, jednym tylko głosem wygrał sprawę i opiekę nad synowcami ksiądz koadjutor. Nie obeszło się i bez kolącego żartu. Patron stawający przeciw matce przywodził jakiś artykuł statutu litewskiego przeciw źle rządzącéj się niewieście; rozumiał tu niegospodarną i lekkomyślną, ale wyraz był dwójznaczny i ostro dokuczył starościnie. Rozgniewał się stolnik i hetman polny litewski, Radziwiłł *Rybeńko* który bronił sławy siostry i jego matka dumna kanclerzyna litewska.

Do tego to pewno wypadku odnosi się anegdotka, jaką w swoim djarjuszu czyli właściwie pamiętnikach, zapisał Ignacy Łopaciński, brat Mikołaja. Było to przy konkluzji sądów rannych. Pan Jabłonowski obecny na sesji z żoną i pasierbicą zbliżył się do Jodki patrona koadjutorskiego i wymawiał mu: „niegodziwie waćpan stawałeś przeciwko żonie mojej“. Oburzył się Jodko, którego pan chciał drasnąć swoją dumą i zaraz odparł żwawo:

— „I godziwie i poczciwie stawałem nie raz, przeciw tak godnym jak waćpan, a nikt mnie o to nie notował.“

Słyszał to koadjutor i przed całym kołem zaskarżył Jabłonowskiego o tak nazwaną weksę swego patrona. Sapiehowie szlachty nie nazywali waćpanami. Zrobił się zgiełk, jedni deputaci wołali, do namowy, to jest do głosowania, na którem byłby Jabłonowski przepadł; drudzy że już po godzinie *post horam*; inni wołali o wartę, zapewne po to, żeby pilnować Jabłonowskiego, który tak niefortunnie obraził niepodległość sądów. Widząc co się dzieje, starosta buski uciekł z izby sądowej, wsiadł na konia jakiegoś pazia, a żona jego tymczasem przypadła do księdza koadjutora, deputatów i wreszcie wymogła to niewieścim swoswoim żalem, że dali pokój téj sprawie. Starosta rozgniewał się najwięcej na Mikołaja Łopacińskiego, posądzając go, że spraktykował deputatów. Tego samego dnia wieczorem znalazł się u marszałka, kiedy nadjechał Łopaciński. Jabłonowski napił się do niego wina i rzekł zaperzony:

—„Mości panie podczaszy do waćpana: vivant panowie Sapiehowie, ale dzieci żony mojej!“

Łopaciński wziął z rąk jego kielich i wypił do któregoś z deputatów, ale z takim toastem:

—„*Vivant* potomstwo księżnej imci, ale pierwszego małżeństwa.“

Na te słowa wpadła w gniew sama pani Jabłonowska z wielką gorączką. Rozgniewał się i sam starosta, ale mniej od żony. Łopaciński przymawiał tu podwójnie, bo potrącał i o księstwo, do którego Jabłonowski miał niezmierną ochotę, starał się o nie, dobijał mocno, ale jeszcze go nie miał. Zaniosło się tedy na wielką zwadę. Masalski uprzedził więc, że na swych pokojach na nic nie pozwoli. Oboje Jabłonowscy rozdraźnieni wyjechali natychmiast.

(D. c. n.)

W BAWARJI I AUSTRJI.

(Dokończenie).

Lintz wygląda wspaniale, jak każde miasto wzniesione na górze ponad rzeką. Dodać do tego należy, że przeciwny brzeg Dunaju jest płaski, a Lintz ufortyfikowane; uważają je bowiem za wrota wejścia do cesarstwa austrjackiego. Jakkolwiek więc nikt się tu gwałtownie nie wdzierał, sterczą mury i bastjony, stoi wojskowy garnizon i przejeżdżającemu od stacji kolei do statku, miasto wydaje się wcale imponująco ze swoim obszernym rynkiem, kościołami, koszarami i całym wojennym przyborem. Przystań na Dunaju nic osobliwego nie przedstawia; podróżni piją kawę na zewnątrz kawiarni, czekając na odpływ parowca, który wyrzuca dym i parę i do ruchu się przygotowuje. Otóż i dzwonek nas wzywa, wchodzimy, płacimy bilety, siadamy, a słońce czerwcowe snop złotych promieni rozsypuje ponad naszemi głowami i skrzy się w nurtach Dunaju djamentowym blaskiem. To jakby ceremonjalny płaszcz rzeki królowej; wstrząsa on się i załamuje pod uderzeniami kół naszego statku, a statek bieży: jak lata, które się stały wiekami i tyle wypadków, wstrząśnień, odmian nad temi brzegami zrodziły. Trudno nie poddać się wrażeniu, jaki wywiera widok Dunaju na tych, którzy go znali tylko z jeografji i historji. Począwszy od czasów rzymskich i wędrówek narodów, aż do chwil najpóźniejszych, Dunaj miał zawsze wielkie polityczne znaczenie. Tu obozowały rzymskie kohorty, tu rozpinały się dzikich Hunnów namioty, tu walczyły legjony Napoleońskie. Dunaj, niegdyś granica cywilizacji, dziś jeden z jéj najświetniejszych traktów, ma w wielu miejscach nader malownicze wybrzeża, a nawet skały podwodne, dawniej postrach żeglarzy, które prochem wysadzone w powietrze, już nikomu nie grożą; lecz w zamian, skały nadbrzeżne fantastycznemi kształty zachwycają oko podróżnika. Na licznych wyspach sterczą wśród zarośli w pół rozsypane wieże odwie-

cznych budowli, rzymskie nazwy miejsc przypominają się obok późniejszych niemieckich, słowem, wielkie kataklizmy dziejowe stają tu żywo w pamięci. Podczas gdy wybrzeża Renu urządziły się trochę na pokaz, tu coś ujęto, tam coś dodano, odmalowano na szaro lub na czerwono ten i ów gmach, według potrzeby, nad Dunajem nie myślano jeszcze o tém *wdzięczeniu się* do oczu podróżnych, bardzo bowiem niedawno ułatwioną została żegluga. Każdy wolał inną drogę, gdy w ciężkich statkach i wśród licznych przeszkód tygodniami i miesiącami wlec się trzeba było. Jak w wielu miejscach tak i tu Anglicy, ożywili ten ważny gościniec komunikacji, zawiązując stowarzyszenie przez akcje, puszczając w r. 1830 pierwszy parowiec z Wiednia do Pesztu, lecz przedsiębierstwo skutkiem wzrastającego handlu od razu uwieńczone zostało pomyślnym skutkiem i wnet też rozszerzyło swój zakres; na wszystkich punktach rzeki zaczęły się rozmijać parowce, zawijając nawet pod sam Konstantynopol. Aż sułtan Mahmud zapragnął Dunajem zwiedzić północne prowincje swego państwa, wsiadł więc jako pasażer na statek kompanji Lloyda. Co za przepaść oddzielająca tę chwilę od czasów, kiedy wielki wezyr Kara Mustafa, wiózł tędy na pogrom Wiednia dwukroć sto tysięczną armję.

Pokazywano mi wir koło skały Haussteinu, niegdyś tak niebezpieczny dla żeglarzy, lecz dziś nie przeraża on bynajmniej podróżnych; być może że sternik i maszynista muszą tam być baczniejsi niż gdzieindziej, ale to już ich rzecz, nie nasza. Zatrzymywaliśmy się w różnych miejscach, to zostawiając towarzyszy, to nowych zabierając, lecz tak między niemi nic nie było wybitnego, że jakkolwiek ciekawą na fizjognomje ludzkie, nie mogli mnie oderwać od wpatrywania się w nadbrzeżną okolicę, zwłaszcza gdy ukazywał się taki stary gród, jak w Pechlarn margrafa Rüdigera, lub poza stacją Marbach na wyniosłej górze zbudowany, słynny odpustami kościół N. Panny, *Marja Taferl*. Ach! jaka bierze pokusa wstąpić na tę wysokość, która z tém wszystkiem co ją otacza już sama na świątynię wygląda i ztamtąd przyjrzeć się wspaniałym dziełom Stwórcy, co jednak prochem są w obec nieskończoności.

Dalej rzeka się rozszerza i znów obraz nowy: stare zamczysko opustoszałe, a z poza niego jak gdyby prąd nowego życia, wybiega pociąg kolei żelaznej, która tu przez kilka mil, nieodstępnie prawie towarzyszy rzece. Szybciej od naszego statku, bo prostszą linią pędzą wagony, i gubimy ich z oczu, bo oto słynne opactwo benedyktynów w Moelck na wyniosłéj skale zbudowane, zaprząta całą naszą uwagę. Piwnice ojców mają równą sławę, jak ich biblioteka i muzeum, niewyczerpane bowiem były nawet dla francuzów, w czasie ich przejścia w 1805 roku. Ledwo te wyniosłe punkta, zaczną blednieć dla goniącego za niemi oka, występują drugie. O przepysznych zwaliskach zamku Aggstein objaśnił mnie mój *przewodnik*, że były dawniej siedliskiem rozbójników, którzy plądrowali na lądzie i wodzie. Dürrenstein gdzie niegdyś książe Austrji zamknął przedzierającego się z Palestyny do Anglji przez jego kraje, Ryszarda Lwie serce, a śpiewak Blondel nucąc znaną pieśń pod jego oknem, wykrył miejsce jego pobytu. To wspomnienie z czasów wojen krzyżowych, zestawione ze świeższemi pamiątkami wojen Napoleońskich, nadaje miejscu urok niesłychany. I dobrze jest też czem zaprzątnąć imaginację na czas dłuższy, gdyż brzegi rzeki stają się płaskie i piaszczyste, aż dopiero przy zbliżaniu się do Wiednia zwracają uwagę szczyty wyniosłe pasma gór Wienerwald, Kahlenberg, Leopoldsberg i bliższe miasteczko Klosternenburg. Jakiś tłuściuchny jegomość, widząc żywe moje zajęcie, jął się objaśniać mi i opowiadać, co sam wiedział o rzeczonych miejscowościach. O turkach i o Sobieskim pozwoliłam sobie dopowiedzieć mu, o Klosternenburgu on mi przytoczył taką legendę. „Kiedyś był tu las po którym książęta zwykli polować i w pewnym jego punkcie żona Leopolda świętego znalazła zasłonę, zgubioną przed ośmiu laty, na polowaniu. Punkt ten zasłoniony górami, u stóp obronnego zamku, który właśnie pobożny książe wzniósł na szczycie Kahlenberga, dla stawiania oporu najazdom Węgrów, wydał mu się stosownym do założenia klasztoru, gdzie przed ołtarzem kościołka zasłonę ukochanej żony zawiesił. Jeszcze szczątki téj zasłony podobno dotąd tam pokazują, wraz z czaszką Leopolda, oprawną w drogocenny relikwiarz.

Książe ten, opuściwszy swą rezydencję w Moelck mieszkał odtąd na Kahlenbergu, a wichry i burze równie jak ludów w półbarbarzyńskich napady, rozbijały się o skaliste jego szczyty poszarpane. Leopoldsbergiem nazwany został ten ostatni wierzchołek góry, wysunięty naprzód, jakby przednia straż cywilizacji, groźny fortecą, której po dziś dzień widać szczątki, a poza nim wije się kręto cały szereg gór Wienerwaldu, niby ponure bastjony' na których iglice świerków, jak dzidy, sterczą. To jedna z odnóg wielkiego Alp łańcucha, które tutaj pod imieniem Alp noryckich występują. Ku Styrji pokazują się znowu w całym wdzięku i majestacie, a przez ich skały i wąwozy, człowiek drogę dla siebie przenurtować zdołał i trudno widzieć coś, coby dobitniej potęgę jego działalności wykazywało, jak tunele Semmeringu. Gdy dwa pociągi niedługo po sobie wyszłe mają sposobność obserwować się nawzajem, przejmuje patrzących wrażenie téj potęgi i tego stosunku wzajemnego. Mało powiedzieć, że wagony wyglądają jak cacka dziecinne, postawione obok największych w świecie budowli, bo to jeszcze stosunek niedokładnie oznaczony, ale owe prześlizgiwanie się pociągu to po szczytach skalistych, to w ich łonie, daje obraz rzeczywiście czarodziejski. W do-

linach okazują się sioła, w których widać jak ludzie krzątają się, pracują i modlą. W jednem z nich dostrzegłam ciągnącą procesję; śpiew dochodził przygasłemi dźwiękami, a gromadka pobożnych wydawała się dziecinnego wzrostu. Gdyby nas tak poczciwi Styryjczycy ujrzeli nie dawniej jak przed stu laty, byliby pewno rozpierzchli się z przerażeniem, jako na widok jednej ze spraw czartowskich. Przypomnijmy sobie bowiem, że w wiekach średnich, szatani daleko mniej mądre i mniej cudowne rzeczy robili, a doszli do takiego rozgłosu.

Lecz oto zapędziłam się myślą aż w Alpy Styryjskie, nie pomnąc, że dopływam do jednej z największych stolic Europy, która ze wszech miar zasługuje na uwagę. Ale tu właśnie taką koleją szedł postęp w dziejach, jak zajęcie budzące się w myśli podróżnika. Szczyty Kahlenbergu, które dziś panują po nad Wiedniem, niby dawne chwały pomniki, streszczały już w sobie cały żywot tworzącego się państwa, podczas kiedy dawna rzymska *Vindobona*, leżała cichutko w dolinie Dunaju, jako mieścina bez znaczenia Drzemały bowiem jeszcze na tych brzegach interesa handlowe, a polityczne wymagały bardziej obronnego dla miast położenia. Aż kiedy burze wojen przycichły, za chłodno i pusto wydało się margrafom w ich siedzibach skalistych i zasłoniona od wichrów dolina, uśmiechała się do nich całym powabem swoim. Margraf Henryk przeniósł się na mieszkanie do swego



Klosternenburg nad Dunajem.

myśliwskiego domku pod miastem. Odtąd zaczęło trącić pustką zamczysko Leopoldsbergu, a Wiedeń wzrastał szybko. Było to coś w połowie wieku XII.

W Nussdorf, o godzinę drogi od stolicy, opuściliśmy główne koryto Dunaju, przesadzono nas na mniejszy statek, który nas zawiózł przez odnogę rzeki na skraj miasta, to jest na jedno z przedmieść jego: Leopoldstadt.

W kilka dni później zwiedzałam szczegółowo Kahlenberg, gdzie istnieje oberża w któréj Mozart napisał *Flet zaczarowany*. Liczni goście odwiedzają tę miejscowość i wspomnienie zalewają obficie piwem, ktore tu swą wonią napełnia olbrzymią salę. Ganek wszakże który dozwala wynieść się nad ten poziom i rozejrzeć po przecudnej okolicy, której Karpaty i Alpy Styryjskie za linję graniczną służą, wynagradza trudy wstępowania na górę. Na Leopoldsbergu pokazują kościół w którym Jan Sobieski przyjmował przed bitwą św. komunję i rozpowiadają szeroko, gdzie stały jego wojska. Bezwątpienia filozofja dziejów, która obejmuje zarazem najszczytniejszą ich poezję, oceni posłannicze znaczenie téj walki na dalekiem wybrzeżu z nieprzyjaciołmi krzyża, lecz wyznaję że na tych kamienistych spadkach gór, w obec wielkiego u stóp ich miasta, bardziej samolubne i nie tak daleko sięgające przychodziły mi myśli.

J. Dobieszewska (Śmigielska).

DJARJUSZ CEREMONJAŁU

czynionego z okazji przyjazdu

SEJD NUMAN BEJ

Basch Merchaubdgi (to jest kontrolera generalnego cesarskiego), posła ekstraordynaryjnego od prześwietnej Porty Ottomańskiej, do

STANISŁAWA AUGUSTA

Króla Polskiego i Rzeczypospolitéj, w roku 1777, w miesiącu Sierpniu.

(Dokończenie).

Dnia tego gwardja koronna jkmci piesza w komplecie całego regimentu, przymaszerowała do zamku, we dwa glejty uszykowani ludzie stali pod bronią w cyrkuł podwórza zamkowego, aż do bram tak pod zegarem jako ku Dziekanji idącym. Od bramy zamkowej aż po za Bernardyny stała w dwie linje uszykowana gwardja litewska, dalej dwoma szeregami kawalerja narodowa, a daléj ułani jkmci, aż do kamienicy pana Wasilewskiego.

Jw. imcipan generał-major Byszewski wyjechawszy z pałacu wzmiankowanego wyżej, jechał Krakowskiem-Przedmieściem przez dziedziniec Saski ulicą Mazowiecką (na której zostawił kawalerję narodową dla przestronności miejsca) a sam z asystencją *nobilitatis* i końmi jkmci przyjechał do pałacu jw. posła, gdzie z wszelką ludzkością przez ludzi jego był przyjęty i mając przy sobie tłomacza jkmci i Rzpltej imcipana Kruttę, oświadczył jw. po słowi iż jest delegowanym od Najjaśniejszego Pana, aby prowadził jw. posła na audjencję, na którą już wszelka uczyniona jest gotowość, na co jw. poseł z wielką odpowiedziawszy grzecznością według zwyczaju częstował jw. imci pana generała; potem sam do wyjazdu zabierać się począł i zszedłszy na dół z jw. imcipanem generałem na podanego konia wsiadł i w ten sposób jechał do zamku.

1. Wice brygadjer z kawalerją narodową.
2. Masztalerze asystencji.
3. Dworzanie jkmci.
4. Oficjalistowie poselscy.
5. Konie wierzchowe poselskie.
6. Konjuszy jkmci.
7. Dwa konie wierzchowe królewskie pod posła.
8. Konjuszy drugi jkm.
9. Czausz jw. posła na koniu królewskim.
10. Tłomacz poselski.
11. Czterech oficjalistów prywatnych na koniach króla.
12. Sekretarz poselski na koniu królewskim trzymający w ręku wezgłowie, na którem ekspedycja do Najjaśniejszego Pana; koń jego przez dwóch masztalerzy prowadzony.
13. Jw. poseł mający 4 masztalerzy przy koniu.
14. Jw. imcipan generał major Byszewski po prawej ręce posła.
15. Tłomacz jkm. i Rzpltej po lewej ręce za posłem, tak jednak że jw. poseł w pośrodku tych obydwóch znajdował się.
16. Dwóch oficjalistów poselskich, to jest Se

liktar i Muchudar na królewskich koniach, przy każdym masztalerz jeden.

17. Podkonjuszy jkm. mający za sobą czterech masztalerzy.

18. Oficer z komendą narodową.

Tym tedy porządkiem jechali na audjencję przy graniu marsza przez kawalerję narodową i przez gwardję stojącą pod bronią; przy mijaniu przez jw. posła. Wice brygadjer nie dojeżdżając do statui Zygmunta z kawalerją narodową uszykował się.

Masztalerze asystencji wjechawszy bramą koło pałacu *pod blachą* przejechali bramę zegarową i na dziedzińcu odbierali konie panów swoich, sekretarz poselski wysiadł w bramie samej.

JW. poseł wysiadł w bramie, za nim jw. generał Byszewski, tłomacz jkm. i Rzpltej, nakoniec dworscy jw. posła.

Wszystkie konie wierzchowe, tak królewskie jako też i poselskie, na dziedziniec stajenny wyprowadzone były, oraz im przysłano kilka towarzystwa od juryzdykcji marszałkowskiej, aby od przechodzących nie byli napastowani, niemniej i przed wyjeżdżającą paradą jw. posła. Kilkanaście koni tejże chorągwi ordynowano dla rozpędzenia zatrzymujące się pojazdy, jakotéż wszystkie bramy konną wartą opatrzone były dla tejże przyczyny.

Jw. poseł prowadzony schodami wielkiemi na górę, odbierał honory wojenne od chorągwi węgierskiej, Laski wielkiej koronnej, we dwie linje w pokojach aż do izby senatorskiej uszykowanej, poprzedzany był przez dworzan jkm. i przez sekretarza swego, który niósł ekspedycję, był prowadzony przez czterech urzędników poselskich, a jw. poseł mający po prawej ręce jw. imcipana generała Byszewskiego a po lewej tłomacza Rzpltej. Za posłem szli dworzanie poselscy.

Sposobem tym postępując aż do drzwi izby senatorskiej u których czterech pajuków stało, dworzanie jkm. poza krzesła ministrów i senatorów rozeszli się, aby jw. poseł łatwy miał przechód. Sekretarz poselski niosący ekspedycję idąc przed posłem, zatrzymał się po prawej stronie po róg krzesła marszałka koronnego. Poselscy oficjaliści zaś pozostali się za odźwiernemi jkm., którzy cyrkułu senatu zamkniętego baczność mieli. Jw. poseł wszedłszy do izby senatorskiej, zastał jkmość na tronie siedzącego, z głową nakrytą, niemniej i senat cały na miejscach swoich z nakrytemi głowami. Wstąpiwszy w cyrkuł senatu uczynił poseł ukłon jkmci i zasiadającemu senatowi, a wtém marszałkowie i ministrowie powstali i po uczynionym imcipanu posłowi uszanowaniu, skłonieniem głowy, udali się do jkmci a zbliżając się do tronu, odkryli głowy z ukłonieniem i dalej postępowali potem stanąwszy przy tronie nakryli głowy, a za odebraniem rozkazu od jkmci, marszałek koronny uderzył laską i mówił: „Wielmożny poseł od najjaśniejszej porty przystąpić zechce do oddania ekspedycji swojej Najjaśniejszemu Królowi.“ W tym jw. pan poseł odebrawszy listy z wezgłowiem od sekretarza swego, postępował do tronu, którego dwaj szambelani imcipan Wojna i Brzostowski do tego wyznaczeni prowadzili po pod ręce, sekretarz zaś jego i tłomacz jkmci za nim szli. Imcipan poseł idąc środkiem senatu przy pierwszym kroku uczynił ukłon jkmci dalej postępując, drugi ukłon na środku senatu, a trzeci ukłon przy samym tronie uczynił. Gdy jw. poseł stanął przy tronie uniósł ręce do góry z oddaniem ekspedycji, a wtém kanclerz wielki koronny zbliżywszy się z gradusów do niego, ekspedycję odebrał i zaraz Najjaśniejszemu Panu oddał; Najjaśniejszy Pan zaś odbierając ekspedycję schylenie głowy uczynił jw. posłowi, a odebraną koło siebie na stoliku położył; po skończonej ceremonji, imcipan poseł prowadzony przez tychże dwóch szambelanów powracał, zawsze w zad aby tyłu do tronu nie obracał, powtarzając te trzy ukłony które czynił idąc do tronu.

Gdy poseł na miejscu swojem stanął, ministrowie jkm wrócili się na miejsca swoje i czyniąc królowi ukłon odkryli głowy, marszałek koronny kazał podać trzymającym odźwiernym wezgłowie i jw. posłowi pokazał siedzenie a potem uderzywszy laską rzekł: „Wielmożny poseł od najjaśniejszej porty mówić będzie do Najjaśniejszego Pana.“ Jw. poseł zaczął swoją przedmowę po turecku, którą gdy skończył, tłomacz jkm. i Rzpltej imcipan Krutta, uczynił tłomaczenie po łacinie i czytał w te słowa:

„Najjaśniejszy Królu, Panie mój miłościwy! Oto jest mowa jw. posła, którą miał w tej chwili:

Jego cesarska mość, najmiłościwszy sułtan i pan mój, pomiędzy królami i książętami ziemi jaśniejący blaskiem Aleksandra wielkiego, najpotężniejszy z mocarzów, dwóch miast świętych Mekki i Medyny sługa, dwóch części świata dziedzic i pan dwóch mórz, czcigodny i najpotężniejszy, rzeczony cesarz mój pan i sułtan Abdul-Hamid Han, syn sułtana Ahmet Hana zwycięzcy, pomnąc na dawne przymierze zawarte szczerze i zawsze szanowane przez wysoką portę, której godłem jest stałość, a dworem polskim, pragnąc potwierdzić rzeczone przymierze, by tem mocniejszem i trwalszem było, wysłał mnie nadzwyczajnego posła jego cesarskiego mości, upełnomocnionego i opatrzonego listami do Waszej Królewskiej mości, które to listy zawierają oznajmienie jako tenże najmiłościwszy pan mój odziedziczył tron cesarski i najwyższą władzę. Jednocześnie z temi wręczono mi jeszcze listy najpierwszego w obecnym czasie dygnitarza cesarstwa, potężnego namiestnika i stróża cesarskiej pieczęci, jaśnie oświeconego dobroczyńcy i pana, najwyższego wezyra Mehemed Baszy. Jednocześnie polecono mi złożyć ustne powinszowanie z okoliczności wstąpienia na tron polski

najjaśniejszego, najpotężniejszego, najczcigodniejszego, najwspaniałomyślniejszego Króla Stanisława Augusta, monarchy udarowanego najświetniejszemi przymiotami duszy. W dowód najserdeczniejszej życzliwości i przyjaźni, którą chce zachować najmiłosciwszy sułtan pan mój, dla zacnych przymiotów i cnót Jego Królewskiej Mości, jakoteż pragnąc okazać wysoką a wrodzoną hojność, która znaną jest całemu światu, dołącza do rzeczonych listów dary cesarskie, których spis znajduje się w rejestrze podanym przez posła.

Po skończonem tłomaczeniu tej mowy, ministrowie powstali z miejsc swoich i uczyniwszy posłowi ukłon udali się do tronu a przy zbliżaniu się do niego odkryli głowy, stanąwszy zaś przy tronie ponakrywali głowy i za rozkazem Najjaśniejszego Pana, marszałek koronny uderzył laską i dał głos kanclerzowi koronnemu, który jw. posłowi po łacinie następującą dał od jkm odpowiedź:

„Najjaśniejszy i najpotężniejszy Pan, Stanisław August Król Polski, Wielki książe litewski, ruski, pruski, mazowiecki etc. pan mój najmiłościwszy, szczęśliwie wolnemu narodowi polskiemu od lat trzynastu panujący, natychmiast po wstąpieniu na tron zawiadomił o tem najjaśniejszą portę, jakoteż oświadczył, że zarówno z nią jak z innemi sąsiedniemi mocarstwami, które z rzecząpospolitą połączone są węzłem przyjaźni, pragnie jak najwięcéj takowy stosunek zachować na zawsze i w jak najlepszej pozostawać harmonji. Jakoż dla utrwalenia przyjaźni dawnej i paktów z najjaśniejszą portą, skoro tylko objął rządy tego królestwa, wysłał najmiłościwszy pan mój tamże, od siebie i od Rzpltej, nadzwyczajnego posła, teraz zaś dla odnowienia owych przyjaznych stosunków wysłał do najjaśniejszego i najpotężniejszego Abdul Hamid Hana, cesarza ottomańskiego, ambasadora swego i pełnomocnego ministra, który pozostaje przy boku tegoż najjaśniejszego cesarza, w zamiarze przeświadczenia go o niezłomnej przyjaźni i ciągłem staraniu Jego Królewskiej Mości względem zachowania pokoju i dobrych sąsiedzkich stosunków.

Jako nie przypuszcza Jego Królewska Mość, pan mój miłościwy, aby najjaśniejsza porta ottomańska powątpiewać mogła o przyjaznych jego chęciach od dnia wstąpienia na tron, przypisuje przeto czasowym okolicznościom to opóźnienie ze strony ottomańskiego cesarstwa, względem wzajemnego oświadczenia sąsiedzkiej przyjaźni.

Obecnie Jego Królewska Mość, pan mój najmiłościwszy, bacząc najwięcéj we wszystkich stosunkach z najjaśniejszą portą na zachowanie wieczystego traktatu Karłowickiego, z wielką rozkoszą serca przyjmuje nadzwyczajne poselstwo od najjaśniejszego i najpotężniejszego Abdul Hamid Hana, cesarza ottomańskiego i listy rzeczone, w których o wyniesieniu swojem na tron cesarski oznajmia, a zarazem winszuje Jego Królewskiej Mości tronu polskiego co przez ciebie Sejd Numan Beju, mężu wysokich zasług oświadczone, najmiłościwszy pan mój wdzięcznem sercem przyjmuje, dzień zaś dzisiejszy, w którym utwierdzony jest węzeł wieczystej przyjaźni z najjaśniejszą portą, w słodkiej na zawsze zachowa pamięci.“

Po tej mowie, tłomacz jkm. i rzpltej przetłomaczył onę jw. posłowi po turecku; w tych zaś ceromonjach, ile razy marszałek lub kanclerz wspominali króla i cesarza, odkrywali głowy.

Nakoniec marszałek wielki koronny uderzywszy laską rzekł: „Jaśnie wielmożny poseł od najjaśniejszej porty odejść może.“ Natenczas jw. poseł powstawszy z wezgłowia uczynił ukłon królowi jego mości i senatowi, poczem cofnął się kilka kroków w tył i wyszedł z senatu, a zatem i najjaśniejszy pan zsiadł z tronu i cały senat wychodzić począł.

Jw. poseł wyszedł z senatu w asystencji imcipana generała Byszewskiego i dworzan jkm. przez podwórze do bramy, która wiedzie do apartamentów jw. marszałka nadwornego. Na schodach, któremi szedł jw. poseł do pokojów jw. marszałka na obiad, stali żołnierze gwardji, uszykowani w dwie linje, przybrani w mundury paradne, którzy jw. posłowi broń prezentowali. Skoro wszedł jw. poseł do apartamentów jw. marszałka, pokazany mu był pokój do przebrania się w inne szaty; w tym więc pokoju bawił się do obiadu kurzeniem tytuniu i rozmową z jw. marszałkiem.

Kiedy już stół zastawiono, do którego zaproszeni byli wszyscy senatorowie, ministrowie, niemniej i urzędnicy koronni, ukazano miejsce przy stole posłowi, zaś tłómacz imcipan Krutta, zasiadł pomiędzy jw. posłem a jw. marszałkiem, których tłomaczył rozmowę.

Po skończonym obiedzie wybierał się jw. poseł do wyjazdu, skoro zaś przyprowadzono konie, pożegnał jw. marszałka, który odwrócił go do połowy pokoju i wrócił do swej kompanji. Sprowadzony poseł przez dworzan jkm. i generała Byszewskiego, wsiadł na konia i do pałacu swego pojechał, w porządku wyżej opisanym, z tą tylko różnicą, że sekretarz, jako już nie mający ekspedycji, jechał w towarzystwie oficjalistów poselskich. Jw. poseł rzucał pospólstwu drobne pieniądze swego kraju.

Kiedy zbliżyła się kawalerja narodowa do pałacu Saskiego, tam zatrzymała się na podwórzu, z uwagi, aby znaczna liczba koni w dość szczupłej ulicy Mazowieckiej tumultu nie sprawiła, a przy tem, żeby jw. poseł obszerniejsze miał miejsce do przejechania, prócz asystencji konnej i jw. posła nikt na podwórze pałacu poselskiego nie wjechał. Skoro stanął już na miejscu jw. poseł, odprowadzono go do pokojów, on zaś podziękował delegowanemu od jkm. i asystencji, poczem paradny orszak odszedł w tymże porządku jak wyżej, kiedy ciągnął do poselskiego pałacu.

P. S. Lubo w opisje niniejszego ceremo-

njału znajduje się, iż poseł turecki na pierwszej wizycie u jw. marszałka nadwornego oddał onemu przynależący list od Wezyra, jako to powinien był uczynić według zwyczaju, że jednak trafunkiem list ten był przepomniany i przez posła nie przywieziony, stało się, że marszałek nadw. kor. wizyty poselskiej bez oddania pomienionego listu, przyjąć nie chciał, a ztąd audjencja u króla opóźnić się mogła; zmiarkowawszy to poseł przepraszał przez tłomacza imcipana Kruttę i przyrzekł jak najsolenniej, że poprawi omyłkę i postara się o list od Wezyra, który nieomylnie przystawi, tak więc na zabezpieczenie takowe jw. posła, wizyta w swym czasie miała miejsce. Gdy przybył marszałek w. k., pan poseł turecki nietylko na pierwszej oddanej mu wizycie, ale i przy pożegnaniu, w jak zajżywszych terminach oświadczył, że omyłka względem nieprzywiezionego listu poprawiona będzie i że już pisał do swego dworu o przysłanie pomienionego listu,

---

DZIAŁALNOŚĆ W SPRAWIE KOBIET

w Niemczech.

Stowarzyszenie *powszechne niemieckich kobiet*. które się zawiązało w Lipsku, obchodziło 17 Października r. b rocznioę swego istnienia, zdając zarazem sprawę z dokonanych czynności. Trudny był zaiste ten rok pierwszy, gdy zamiary przedewszystkiem pokojowej natury, wymagające do spełnienia swego, wzajemnej ufności, kapitałów i więcéj cywilnej niż wojskowej odwagi, trafiły właśnie na chwile politycznych zatargów, które poruszyły całe Niemcy i żywiej je zajęły, niż wszystko coby uczyniono pożytecznego i sprawiedliwego dla téj rodu ludzkiego połowy, co może czekać przecie kiedy milczeć musi. I zresztą takie dzieła dokonywają się tylko pracą powolną myśli i natchnionych miłością ludzkości usiłowań, którym aby przenurtowały całe społeczeństwo, ciszy potrzeba, gdy tymczasem huk armat, wojsk pochody, i cholera trwogę rozsiewały. Do Maja 1866 roku liczba stowarzyszonych do 85 wzrosła. Następnie szło bardzo tępo i niejedni co się zgłosili do towarzystwa, musieli dla niemożności pełnienia włożonych na się obowiązków, wycofać nazwiska swoje. Ale jest pocieszającém widzieć, że wpisywanie się członków nigdy zupełnie nie ustało, co dowodzi, że mimo wszystko inne co mogło zaprzątać uwagę, przekonania o pożytku instytucji pozostały niezatarte. Obecnie jest członków 95, między któremi 12 mężczyzn (1). Stowarzyszenie złożone z osób rozproszonych po całych Niemczech, a nawet i poza ich granicami, począwszy od Londynu do Petersburga, potrzebowało koniecznie publicznego organu, nie tyle jeszcze dla porozumienia się wzajemnego członków, ile dla działania na zewnątrz związku, dla dopomożenia mu do rozpostarcia swego wpływu przez szerzenie jasnych pojęć, które jedynie mogą sprowadzić poprawę w losie kobiety; do tego głównie prasa przyczynić się może. Gdy powstała gazeta *Algemeine Frauen Zeitung* w czasie pierwszych konferencji stowarzyszenia, okazała się niestosowną na jego organ, zaczęto wydawać od Nowego roku 1866 *Nowe drogi* (Neue Bahnen), co się dokonało za pośrednictwem kaucji jaką założyli dwaj stowarzyszeni z Lipska, jakkolwiek bowiem wydawcy i autorowie byliby bezinteresowni, pismo poczynające w tak ciężkich dla literatury czasach, ostaćby się nie mogło.

Założenie w różnych miejscowościach towarzystw, na wzór lipskiego, mającego na celu kształcenie kobiet: *Frauenbildungs Verein*, było tu najgłówniejszem usiłowaniem, lecz znalazło silne przeszkody w wypadkach tegorocznych. Przygotowania na Wielkanocne święta zajmują wiele czasu kobietom w rodzinie: nie można więc było przed temi świętami nic rozpoczynać. Potem przyszła wojna i wszystkie w tej mierze usiłowania, w niektórych miejscowościach przerwała, i takie towarzystwa z pomyślnym rezultatem dały się tylko zaprowadzić w Wrocławiu, Hamburgu, Lipsku, w Krems, w Lisie i Zwikau. Oprócz tego przybyło kilka szkółek niedzielnych dla dziewcząt. Za szczupłą dotąd była kasa towarzystwa (258 talarów wpływu a 251 wydatku) aby się odważyć na założenie wielkiego zakładu, urządzono więc tylko w Lipsku w lokalu ofiarowanym darmo przez jednego z członków, *bióro przepisywaczek*, co i w innych miastach naśladowano. Jest to nowa gałęź zajęcia otworzona kobietom, nie powierzano im bowiem dotąd przepisywania, jakkolwiek wiadomo że ich ręka często kształtnem pisaniem się odznacza.

Naczelny komitet widząc się w niemożności zwołania w obecnych okolicznościach ogólnego zjazdu stowarzyszonych kobiet, odłożył

(1) W stowarzyszeniu wrocławskiém, które jest filją Lipskiego, przyjmowanie mężczyzn znalazło silną opozycję. Ostatecznie zadecydowano, że mogą być przyjmowani tymczasowo jako członkowie.

to do lepszych czasów i wybrał na ostatniem posiedzeniu, na miejsce zmarłej ze swego grona panny Anny Voigt, panią Henrykę Hirschel z Lipska.

Sprawozdanie komitetu kończy się temi słowy: „Przebyłyśmy tedy szczęśliwie pierwszy i bezwątpienia najcięższy rok, a więc wytrzymałyśmy próbę możności naszego istnienia. Nic mu nie zaszkodziły rozterki, które szarpały naszą drogą, niemiecką ojczyznę i nie powstydziłyśmy się, żeśmy związek nasz ogólnym i niemieckim nazwały. Wzywamy więc niniejszem wszystkie kobiety, czy one północne czy południowe Niemcy zamieszkują, czy nawet za ich granicami, jeżeli im cokolwiek leży na sercu los ich płci i chęć poprawienia go je ożywia, niech się łączą z nami, aby towarzystwo nasze wzrastać i czynność swoją zbawienną rozwijać mogło.“

Pozornie tedy, nie wiele jeszcze stowarzyszenie zrobiło przez pierwszy rok bytu swego, ale zważmy, że ważne przeobrażenia nie dokonywają się z gorączkową szybkością, a ów wyśmiany przez wielu kongres kobiet w Lipsku i wynikły zeń związek, zasadami, które mu służą za podstawę, głęboko nurtuje społeczeństwo niemieckie. Prasa ożywiła się niezmiernie w tym przedmiocie, jawią się artykuły za i przeciw; wychodzą osobne prace jak np. *Kwestja kobieca* przez Minnę Pinoff, która już często w Szląskiej gazecie w tej przemawiała sprawie a tu mówi między innemi: „Nie do klassy służebnej i pracującej odzywam się w téj książce, gdyż ta ma z powodu swych zajęć naznaczone dla siebie miejsce; jest więc wyzwoloną skoro sumiennie i uczciwie pełni swoje obowiązki, ale idzie mi o zdanie sprawy. z potrzeb moralnych i umysłowych téj klassy kobiet, która się zwie wyższą i dla tego jest najzależniejszą, obawia się bowiem najmniejszym krokiem, występującym po za kolej zdawna utartą, narazić się na sąd o sobie fałszywy.“ Księgarz Hoffman z Lipska wydał broszurkę p. t. *Prawo kobiet do zarobkowania.* Jest to rzut oka na dzisiejsze położenie kobiet, napisane przez Ludwikę Otto, jednę z redaktorek wspomnionego tygodnika *Nowe drogi.* Maurycy Müller z Pforzheimu stały propagator wszelkich ulepszeń w losie kobiet, opiekun pracownic swego miasta, które skłonił do założenia sobie na wzór mężczyzn, kassy wzajemnej pomocy, wydał broszurkę godną uwagi, którą nazwał *sprawozdaniem z usiłowań stowarzyszenia kobiet w Pforzheim*, a w której się odzywa: „Kobiety niemieckie nie są jeszcze w stanie zadosyć uczynić wszystkim obowiązkom, jakich ojczyzna ma prawo po nich wymagać, ale muszą dojść do tej wysokości. Będziemyż je uważać jako bóstwa nasze, jako niewolnice, lub też jako zwierzęta robocze, one zawsze zrobią nas takiemi jakie same będą. Jest to prawem przedwiecznej sprawiedliwości, że mężczyzna o ile poniża kobietę, o tyle sam się poniża, a o ile ją wznosi moralnie, o tyle się sam uszlachetnia.

Zajmującem było zebrane dnia 5 lutego rb. we Wrocławiu, zgromadzenie, które można uważać jako owoc podnoszących się coraz śmielej głosów, w różnych organach prasy i jasne zformułowanie potrzeb społeczeństwa. Zebrano się tedy dla zawiązania stowarzyszenia mającego na celu wyższe ukształcenie kobiet. Sala zaledwie pomieścić mogła zgromadzone osoby, mężczyzn jednak było daleko mniej. Uproszony p. Hüllebrandt zabrał głos, wyrażając radość, że kwestja która ich tu zgromadziła, już liczbą przytomnych osób daje świadectwo, jak wielkie budzi zajęcie.

Mówił następnie o błędnym sposobie wychowywania kobiet i położył za pierwszorzędny cel i obowiązek stowarzyszenia, nadanie wyższego zakresu moralnemu i umysłowemu wychowaniu tychże, ku czemu służyć mają, publiczne odczyty, wykłady, instytuta wyższe. Za cel drugi, nie mniej ważny, wskazał rozszerzenie pola dla pracy kobiecej, a więc tem samem podniesienie materjalnego bytu, licznej klasy ubogich. Sposoby jakiemiby można było dojść do pomyślnych rezultatów, pozostawione zostały do dyskusji na następnych sesjach, nie są to bowiem przedmioty mogące się rozstrzygnąć od razu. Wzgląd na miejscowe stosunki, na zasoby pieniężne towarzystwa, dobra wola ogółu wielkie tu mają znaczenie.

Nakreślono też pobieżnie statut zawiązującego się towarzystwa. Ma doń przystąpić prawo każda kobieta, wyżej jak 14 lat wieku licząca. Opłata bardzo mała, bo dwa srebrne grosze miesięczuie i t. p., słowem we wszystkiem co mówiono, znać było gorliwą chęć nie skończenia na marnych słowach. Prawie wszyscy przytomni zapisali się zaraz na członków.

W mieście Krems miała publiczną prelekcję na rzecz podobnegoż stowarzyszenia kształcenia kobiet, pani Amalja Ligonti znana i szanowana powszechnie nauczycielka wyższych zdolności, posiada bowiem gruntownie włoski, francuzki i niemiecki język, oraz niemałą znajomość ich literatury. Posiedzenie to z 4 kwietnia r. b., jeden z dzienników tak opisuje „W sali kasynowej wcześnie przed siódmą wieczór, zebrało się liczne zgromadzenie, albowiem pani Ligonti w charakterze członka komitetu wybrana z krajów austrjackich przez ogólne stowarzyszenie kobiet w Lipsku, miała mieć wstępną prelekcję. Do wspaniale oświeconej sali cisnęły się całe rodziny, tak z miasta jak i z okolicy. Wszystek szmer ucichł, skoro nareszcie otworzyły się drzwi boczne i w nich pokazała się postać nakazująca uszanowanie, poważna, skromna, w prostej czarnej sukni. Było to już znaczącem, że jedna z dam z Krems, stawała przed publicznością, aby doń przemawiać w sprawie budzącej niemałe zajęcie, lecz uwaga słuchaczy została jeszcze w wysokim stopniu pod-

niesiona, wdziękiem stylu i rzadkim darem wymowy prelegentki. Z początku głos jéj był stłumiony, lecz nabrał siły w miarę jak się zapalała przedmiotem. A gdy po dłuższej niż godzina mowie, skończyła, nikt zdaje się, z osób zebranych w sali, nie wyszedł bez przekonania, że edukacja dziewcząt naszych, po przejściu szkoły normalnej, w żaden sposób nie może być uważaną za skończoną, że jest niczem nie stłumioną, potrzebą nowszych czasów, wynikającą z postępów cywilizacji, zakładanie wyższych naukowych instytucji, któreby przyczyniły się do rozwijania w kobietach, tych najwyższych darów bożych dla człowieka: umysłu i serca.“ W kilka dni później pani Ligonti ogłosiła w miejscowym dzienniku, odezwę do kobiet miasta Krems, Stein, Mautern i okolicy, odezwę, w któréj je wzywa na dzień 17 tegoż miesiąca Kwietnia, na 5tą godzinę po południu, do sali ratuszowej, celem porozumienia się dla zawiązania stowarzyszenia w krajach austrjackich, odpowiedniego głównemu w Lipsku, zwraca przytem ich uwagę, że to jest jedna i ta sama sprawa, zarówno wszystkich obchodząca i że cały ukształcony świat kobiecy, nietylko Austrji ale i Niemiec, będzie się ich działalności przypatrywał.

Pani Ligonti ma styl porywający, nie ukrywa przed rodaczkami trudności i goryczy jakie spotykać będą. „Ale te wszystkie trudności (powiada) nie powinny osłabiać naszej odwagi; jest to naturalną bo zwykle powtarzającą się rzeczą, że najsprawiedliwsze interesa, najgwałtowniejsze potrzeby społeczne, z najzaciętszym spotykają się oporem. Ażeby do naszego przedsięwzięcia z gotowością do ofiary przystąpić, lub przynajmniej usiłowania nasze przeprowadzić z niejaką harmonją, trzeba już pewnego stopnia ukształcenia, zdrowego rozsądku, odsunięcia wszelkich drobnych samolubnych względów, zaparcia się siebie i wyrzeczenia się osobistych interesów dla ogólnego dobra. Żeby więc to ukształcenie i moc ducha, w najwyższym możliwym stopniu upowszechnić, trzeba nam *pracować*, *myśléć* i *walczyć*; gdybyśmy te przymioty u wszystkich kobiet, a przynajmniej u większej ich części upowszechnili, to nasza droga byłaby już usłana różami i nowej nie potrzebowalibyśmy szukać. Lecz tak jeszcze nie jest; wypada nam więc nowe pojęcia w życie wcielić, uczynić zadość niecierpiącym zwłoki wymaganiom czasu, które napróżno przeciwnicy nasi usiłują uważać za niebyłe i przykładając się do stopniowego rozwijania się wyobrażeń, cieszyć się tą świadomością, że każdy pojedynczy człowiek, może, według sił swoich, do ogólnego dzieła pożytecznie się przyłożyć. Najbardziej zaś podtrzymywać nas powinna wiara w konieczność ogólnego postępu, przez wykształcenia i prawo do pracy.

Jednakże bez walki nie ma zwycięztwa, bez oporu nie można dać dowodu siły. Czas, cierpliwość i wytrwałość dokonywały po wszystkie czasy wielkie przeobrażenia, dla tego też wytężajmy (według słów poety) cichutko i nie zasypiając, w najdrobniejszy punkt największą siłę.“ Nie można też tu nie wspomnieć, choć w kilku słowach, pięknej przemowy, jaką miała pani Goldschmidt na posiedzeniu towarzystwa kształcenia kobiet w Lipsku 18 lipca, wśród najwięcej rozwiniętego pożaru wojny. „Nie sprzyjają dzisiejsze czasy do wyjaśnienia wzajemnych stosunków, ale my starajmy się o jasne naszych obowiązków pojęcie. Czynów miłością natchnionych każdy dzień, każda godzina wymagać dziś po nas będzie i pewno nie odstręczymy się, choćby prace te co chwila się zwiększały. Ale cóż? Mamy rannych wojowników opatrywać, a zdrowych prześladować nienawiścią? dla tego, że zbiegiem nieszczęsnych okoliczności, nieprzyjacielskie obozy potworzyły się z sąsiadów i braci, my mamy tchnąć niechęcią od któréj często walczący są wolni? Wszak każdy z nich jest członkiem wielkiego narodu, do którego należemy wszyscy. Miejmy ufność, że wkrótce nadejdą chwile, w których miecze na nowo spoczną w pochwach i my ze spokojnym umysłem zwrócimy uwagę na czasy, jakieśmy co dopiero przeżyli, aby wykazać loiczne następstwa, skutkiem których one przyjść musiały. Nietrudno jednak i dziś już poznać, że każdy z nas zawinił i przyłożył się do sprowadzenia tych czasów boleści pełnych, siebie tylko mając na oku, a pomijając najbliższe interesa wielkiéj całości. Ze smutkiem wypada nam wyznać, że nieznajomość własnéj historji stała się tu nieszczęściem. Ta niewiadomość wywarła swój wpływ na nasz sposób myślenia i w dzisiejszych okolicznościach sprawdziło się to, czego codzienne doświadczenie uczy, że słodycz i dobroć kobiecego serca z trudnością idzie w parze z nieuctwem i brakiem wykształcenia; jaśniej mówiąc: słyszałam z ust najnieoświeceńszych kobiét słowa, najmniéj uczucia i miłosierdzia chrześcijańskiego wyrażające i t. d:

Niemało korzyści przynoszą kassie towarzystw *wykształcenia kobiét*, odczyty i prelekcje publiczne. Takie miewała w Lipsku panna Augusta Schmidt *o wojnie 30to letniéj* i o *oswobodzeniu Niderlandów*, wszystko ze zwrotem na trwającą właśnie w Niemczech wojnę. We Wrocławiu Dr. Drescher mówił *o ubiorach różnych ludów* Dr. Pinoff *o wykształceniu kobiét* Dr. Eitner o *Minesaengerach i ich czasach*. Inżynier Kaiser o *maszynach do szycia* P. Hofrichter dowodził, że mężczyźni nie mają się powodu obawiać konkurencji kobiecéj, albowiem zakres pracy ludzkiéj będzie się coraz bardziéj rozszerzać.

Jako owoc pobudzonéj w tym kierunku myśli, uważać można powstałe w tym roku, w kilku miejscach Szkoły ekonomiczne dla dziewcząt; w tych kształcą oprócz dobrych kucharek, postępowe gospodynie, któreby umiały

nietylko zaopatrywać domowe potrzeby, ale nawet produkować dla przemysłu. Więc zatrudnieniem ich jest ogrodnictwo, hodowla różnego gatunku bydła, wyrób serów i masła na wielką skalę, przytem uczą się buchalterji.

W końcu, jako ważny postęp na drodze chleba i pozycji dla kobiét, zanotować wypada, stanowcze przyjęcie ich w Saksonji do służby poczt i telegrafów. Przypuszczane są do egzaminów nie młodsze jak w latach 18. Dla odbycia nauk przygotowawczych mają założony dla siebie instytut w Dreźnie.

Tak to rozumnie i wytrwale postępują owe niemki w których, w pysze naszéj, nawykłyśmy widziec tylko skrzętne, lecz ograniczone gosposie, przyrządzające kawę za lekką, kapustę za kwaśną, celujące wprawdzie w sztuce robienia pończoch, ale ciemne zupełnie na wyższe społeczeństwa potrzeby i cele. Niestety! tak zaprzątamy naszą uwagę śledzeniem jak się ubierają we Francji, że nie mamy czasu dowiedzieć się, jak myślą w Niemczech Nie można jednak nie przyznać, że pod tym względem i u nas coraz jaśniejsze wyrabiają się pojęcia.

Kiedym przed kilkunastu laty odzywała się o potrzebie wyższego ukształcenia i prawa do rozleglejszej pracy dla kobiety, zakrzyczano mnie, że mi się w głowie przewraca, w pismach publicznych szydzono ze mnie (2). W dalszym postępie lat miałam dowody, że jeżelim się myliła, to w dobrej i ciągle rosnącéj w liczbę kompanji. Wymagania robią się coraz jaśniej sformułowane, głosy odzywają się coraz śmielszéj. Dziś już stokroć lepiej wypowiadają to, co ja wtedy *czułam* dopiero, że gorzko jest kobiecie wyczekiwać z założonemi rękoma na pozycję i chleb, które ma jej dać mężczyzna, czekać w bezczynności, jest to wyrzec się wszelkich darów bożych w sobie, zaprzeć się człowieczeństwa, stać się rzeczą; poszłam więc pracować i zdobyłam sobie chleb i pozycję, a (dodam tu dla lepszej otuchy trwożliwych umysłów) nie przeszkodziło mi to zostać następnie żoną i matką.

---

(2) Odpowiedź pana S. K. na moją odezwę do piszących kobiet, drukowana r. 1855 w ówczesnym Dzienniku warszawskim redagowanym przez hr. Henryka Rzewuskiego.

J. Dobieszewska (Śmigielska).

ADWOKAT SZNOBELES.

powieść Juljusza Gundling, streszczona z niemieckiego.

Dalszy ciąg.

W istocie wchodził właśnie w tej chwili mały, wcale niepiękny człowieczek, poprzednio już nam znany. Rysy jego napiętnowane były chorobliwą bladością; duże ogniste czarne oczy ocienione były łukiem brwi gęstych, broda zaś nie okazywała najmniejszego zarostu. Ubiór szanownego kandydata w porównaniu Ksawerego, był prawie wykwintny, najkosztowniejszą zaś jego częścią było futro, które właściciel wysoko snać cenił, zdjął je bowiem zwolna, pogładził ręką i poważnie powiesił na kołku.

— A Boże! co to za doskonała rzecz takie futro, rzekł, jeszcze czule spoglądając na niego, kiedy siadał obok Ksawerego, takie futro to nigdy nie zdarte; już je noszę siedm lat a wygląda jak gdyby nowe, niemały bo téż grosz kosztowało; sześćdziesiąt talarów zapłaciłem za nie w Lipsku, wypłaciło się też kochane futerko i jeszcze dalej wypłacać będzie. I tę pochwalną mowę swego futra zakończył wykrzyknikiem:

— Izaak dawaj kawę. No cóż stary jak ci się wiedzie? dodał zwracając mowę do Ksawerego.

— Jakże mi się może dobrze powodzić z robotą zawsze jednostajną, a tak nudną, odparł tenże smutnie. Nie spałem całą noc i przepisywałem. Dopiero jak dzień zaświtał zgasiłem świecę i tu przyszedłem. Nie potrzebowałem się ubierać, gdyż się wcale nie rozbierałem, przez całą noc w płaszcz się otulając, nie mam bowiem drzewa; zmarzłem w mojej ciupie.

— Biedny chłopcze! zawołał Sznobeles, gdybyś szepnął słówko, byłbym ci futra pożyczył, a ręczę ci, że byłoby ci łatwiej pisać w futrze. Izaaku przynieś mi „Gazetę powszechną,“ tę co w Augsburgu wychodzi.

— My tu tylko mamy augsburską, panie kandydacie, odpowiedział Izaak podając gazetę; podczas tego Ksawery chciał się oddalić.

— Gdzie się tak spieszysz? zapytał go kandydat, przecież nie wracasz do domu, żeby znowu przepisywać?

— Muszę, odparł Ksawery.

— Zostań jeszcze chwilę, nie ma znowu nic pilnego i pociągnął go na krzesło przy sobie stojące. Spodziewam się powiedzić ci niedługo coś pomyślnego; może wkrótce będziemy kolegowali. W naszej kancelarji przygotowują się odmiany i zdaje mi się że będę mógł coś zrobić dla ciebie niedługo, tylko się spuść na mnie. Od czasu jakeś mi w procesie Dikhammela tak ważną uczynił przysługę, czuję dla ciebie obowiązki wdzięczności; roz-

rzewnia mnie twoja nieradność w zwyczajnych rzeczach i chcę czuwać nad tobą.

— Tak jesteś dobry! a ja doprawdy niewielką wyświadczyłem ci przysługę, rzekł Ksawery ściskając za rękę przyjaciela. Dikhammelowi i tak udało się zemknąć z więzienia, a jedyny ślad jaki po nim mają, jest list gróźb pełen, w którym między innemi obiecuje, że gmachy więzienne podpali, a mnie zabije. Domyślił się widać żem go zdradził. Gdyby nie te pogróżki, siedziałbym jeszcze w Bolcen i pisał akta, ale wolałem ujść przed obietnicą łotra, którąby, jak miecz Damoklesa, pozostawała zawieszoną nad moją głową.

— Dobrześ zrobił żeś Bolcen opuścił, ale to mnie jeszcze bardziej zobowiązało, że mnie się przysługując posadę straciłeś. W tem widzę dla siebie skazówkę, abym cię nie opuszczał, ucieczka Dikhammela nie zmniejsza dla mnie twej zasługi, albowiem przez ukończenie procesu, zasłużyłem się władzy; znają mnie teraz i pewno dadzą adwokaturę w Bolcen. Może do tego jeszcze trzy lata upłynie, ale to już jest rzecz czasu.

— Piękna Sara Kajfur będzie mogła być wtedy żoną doktora Sznobeles, dorzucił Ksawery z uśmiechem.

— Żartuj sobie, a ja się w taki sposób zemszczę, że skasuję twój rachunek z Izaakiem. Izaak! masz tu pieniądze, z których sobie zapłać co się należy, tak aby ci pan Ksawery już nic nie był winien. Ksawery chciał coś rzec, ale mu Sznobeles zamknął usta słowami: Milcz kochany kolego, jeżeli mnie przeczucia nie mylą, to wkrótce nie będziesz potrzebował protekcji do Izaaka i nie będziesz przepisywał nocami, ale spał; teraz żegnam cię, do widzenia, bo już czas iść do kancelarji.

Cały następujący rozdział pod tytułem „Kancelarja Adwokata“ opisuje takąż kancelarję doktora Falkenklem, której Sznobeles został naczelnym dyrektorem i wtedy Ksawerego przy sobie umieścił. Opuszczamy ten rozdział jako pełen szczegółów biurowego życia niemieckiego mniej dla czytelników naszych interesujący.

Ciche życie.

Słońce prześlicznego wiosennego poranku oświecało widnokręg; na górach, które znaczyły jego krańce, bielał śnieg wieczysty, odbijający od ciemnych głębin przepaści. Tylko na jednym wierzchołku, który się wśród płaszczyzny wznosił, słońce już zatarło wszystek ślad zimy i goła skała bazaltowa uwieńczona kapliczką, połyskiwała, stromo nad poziom wzniesiona Poniżej, dojrzeć można na długiej przestrzeni rzekę, wijącą się nakształt srebrnej wstęgi, w jednem miejscu rozdziela się obejmując w swe ramiona wysepkę małą, od której prowadzi drewniany most. Poza nią znów łączą się wody i jakby upojone spotkaniem, uderzają hałaśliwie o stare mury pozostałe po zburzonym niegdyś moście. I znów dalej uciszają się jakby oddając hołd wspaniałemu zamkowi, mieszkaniu wielkiego pana, do którego lasy i pola okoliczne należą. Zamek wspaniały i wysoki zdaje się przechwalać na całą okolicę swemi czerwonemi murami, po których żelazne czepiają się balkony. Dół jego kryje się wśród zielonego parku, zbiegającego całą pochyłością ku brzegom rzeki, niedaleko zamku grupują się domy miasteczka, przerzniętego pośrodku główną ulicą równolegle do rzeki idącą, a przytykającą do starożytnej bramy,

Przypatrzmy się bliżej domkowi, który stoi przy bramie: z bliskiego szlabanu wnosić można, że dla poborcy myta zbudowany. Przy nim siedzi człowiek z białemi włosami i niebieskim kołnierzem, zapewne jest to celnik. Właśnie teraz pędzi ku rogatce powóz i stangret daje w milczeniu znak biczem, żeby mu szlaban otworzono. Stary wstał i czynił wszelkie usiłowania, ażeby go podnieść. Szlaban podniósł się wprawdzie i stangret zachęcił konie aby ruszyły, ale stary powtórną stawił im zaporę, wołając: „Stój“ i spuszczając szlaban.

— Co to znaczy takie lekceważenie praw miejskich, czy ich nie znacie?

— Jakże je ma znać ten, co pierwszy raz do miasta wjeżdża? odezwał się głos z pojazdu i wychyliła się głowa młodzieńca, który ze starszym towarzyszem siedział wewnątrz.

- Pierwszy raz tutaj? powtórzył stary przyglądając się pojazdowi, kiedy tak, to czekajcie. I odwrócił się od zapuszczonego szlabanu.

— Co robisz? odezwał się głos młodzieńca z pojazdu, my chcemy do miasta wjechać.

— To i wjedźcie, mówił stary zwolna, wyciągając pewien rodzaj książeczki z kieszeni. Ot, o mało com przez was nie zaniedbał moich obowiązków, siedziałem sobie spokojnie ciesząc się ciepłem słonecznem, moje myśli już były niewiedzieć gdzie, może cofnęły się o jakie lat pięćdziesiąt, a tu stałoby się coś takiego, zacobym odpowiedział przed zwierzchnością.

— I cóżby to były za straszne rzeczy?

— Bylibyście wjechali do miasta, a wysoka zwierzchność nie byłaby wiedziała waszych nazwisk.

— Tak? ale gospodarz w hotelu, w którym staniemy, byłby nam pewno kazał wpisać nazwiska nasze do książki przejezdnych i wtedy byłaby się o nich dowiedziała wysoka zwierzchność.


— Co uczynią w hotelu, to mi nic do tego, odpowiedział stary. Ja myślę że wysoka zwierzchność nigdy zanadto nie będzie wiedzieć o nazwiskach osób, które do Bolcen przybywają.

— Zapewne, odparł młodzieniec z pojazdu. Żebyście więc obowiązek wasz spełnić mogli, powiem wam żeśmy dla zabawy przyjechali do Bolcen, że jesteśmy kapitalistami....

(D. c. n.)

KÓŁKO DOMOWE
Miesiąc Grudzień
1866.





№ 1.
№ 5.
№ 6.
№ 7.
№ 8.
№ 9.
№ 11.
№ 12.
№ 13.
№ 14.
№ 15.
№ 16.
№ 17.
№ 18.
№ 19.
№ 20.
№ 21.
№ 22.
№ 23.
№ 24.



KÓŁKO DOMOWE